

Toradżowie – nasi przodkowie przybyli z nieba

27 listopada 2017

Pośród szczytów górskich oraz urodzajnych wyżyn w głębi Celebesu Południowego rozciąga się rozległa dolina zamieszkała przez grupę etniczną Toradżów (Tana Toraja). Przed wiekami opuścili oni region Chin Południowych i przeprawili przez ocean na czółnach zwanych lembang a następnie posuwając się w górę rzeki Sa'dan – osiedlali na jej brzegach. Dziś Toradżowie to lud rolniczy uprawiający ryż, warzywa, drzewa goździkowe i kakaowce. Toradżowie wyznają animizm – tradycyjną wiarę praojców – Aluk Todolo, przejawiającą się między innymi niezwykłym, wielodniowym ceremoniałem pogrzebowym. Niezwykle fascynujące są także ich przekazy dotyczące tego, skąd pojawili się na Ziemi.

Mniej więcej przed 1200-1500 laty boski Tamborolangi przybył z gwiazd na Ziemię. Wylądował w Tana Toradża, niedaleko Rantepao. Przybył z Plejad.

Na indonezyjskiej wyspie Sulawesi, znanej także pod nazwą Celebes, mieszkają m.in. Toradżowie. To właśnie przedstawiciele tego ludu opowiadają intrygujące historie o niezwykłych istotach zstępujących z nieba. Zazwyczaj takie opowieści starożytnych ludzi uważa się jedynie za mity i legendy, jednak odkrycie dokonane w 2003 roku na pobliskiej wyspie Flores pokazało, że czasami historie te bywają prawdziwe. Wówczas to w jaskini Liang Bua odkryto szkielet tajemniczego hominida, mierzącego zaledwie 110 centymetrów wzrostu. Wymarły gatunek wyróżniający się drobną budową ciała oraz niewielkim mózgiem nazwano Homo Floresiensis, czyli człowiek z Flores. Początkowo naukowcy szacowali, że gatunek ten wymarł ok. 12.000 lat temu, jednak nowsze badania przesunęły tę granicę o kilkanaście tysięcy lat wstecz.

Co ciekawe, wśród mieszkańców wyspy Flores istniały opowieści o tajemniczych istotach zwanych Ebu Gogo. Miały to być niewielkie, owłosione istoty, mieszkające głęboko w lasach. Zdaniem profesora antropologii Gregory'ego Fortha, opowieści o Ebu Gogo wskazują, że mieszkańcy wyspy mogli przez tysiące lat przekazywać historie o Homo Floresiensis. W dziesiątkach innych kultur różne informacje również były przekazywane przez wiele tysięcy lat. Przykładowo Aborygeni przechowywali w formie opowieści ustnych, relacje na temat podnoszącego się poziomu wód sprzed aż 13 000 lat. Wiemy zatem, że co najmniej niektóre z opowieści starożytnych były prawdziwe. Skoro relacje mieszkańców wyspy Flores były prawdziwe, to warto się zastanowić czy tak samo mogło być z historiami Toradżów z Sulawesi.

Toradżowie od wielu lat przekazują prawdziwie kosmiczne opowieści. W 1960 roku holenderski lingwista Hendrik van der Veen przetłumaczył wiele z tych relacji. W jednym z prastarych wierszy, przekazywanych ustnie przez kapłanów znaleźć można fragment, opowiadający o tym, że dawno temu bogowie zstąpili z kosmosu.

Wg Toradżów dawno temu bogowie przybyli na Ziemię na pokładzie czegoś co określali jako „latający dom z metalu”. W trakcie opowiadania historii, przedstawiciele tej kultury grają na bębnach imitując odgłosy schodzącego w dół pojazdu. W pieśni merok opisano jak z latającego domu wynurzyła się grupa bogów. Wg opowieści, byli wyspecjalizowani w różnych dziedzinach takich jak architektura, medycyna czy botanika i przekazywali pierwszym ludziom przydatną wiedzę na te tematy. Podróżom tym często towarzyszył ogłuszający hałas oraz ogień.

Opowieści przekazywane przez Toradżów to jednak nie wszystko. Na Sulawesi znajdziemy również ponad 400 megalitycznych posągów, które są rozsiane po wyspie w dolinach i na wzgórzach. Europejczycy odkryli te monumenty w 1908 roku. Mimo że od tamtej pory minęło ponad 100 lat, to posągi te wciąż skrywają w sobie wiele tajemnic. Nie wiadomo dokładnie, kiedy

zostały wykute – próby datowania przez archeologów wskazywały różne wyniki, od nawet 3000 r. p.n.e. do 1000 roku naszej ery. Najczęściej wskazuje się, że mogły powstać w pierwszym tysiącleciu p.n.e. Nie wiadomo jednak, kto zbudował te posągi. Toradżowie zamieszkiwali osady oddalone o 200 km od miejsca, w którym znajdują się budowle. Nie istnieją żadne spisane relacje, a w pobliżu megalitów nie znaleziono ani osad, ani narzędzi.

Nie wiadomo również, kogo te posągi miałyby przedstawiać. Wysokość najwyższych monumentów sięga nawet do 5 metrów. Posągi przedstawiają dziwnie wyglądające humanoidalne istoty. Zagadkowe postacie spoglądają przed siebie w milczeniu. W ich wyglądzie oraz postawie można dostrzec pewne podobieństwa do posągów z oddalonej o ponad 10 000 km Wyspy Wielkanocnej. Spoglądając na te budowle można tylko zgadywać, co zdaniem ich budowniczych mogły reprezentować. Być może było to przedstawienie tych samych istot, o których opowiadali Toradżowie.

Naturalnie wszystkie te opowieści można uznać jedynie za mity i legendy, jednak jak wiemy starożytni ludzie często przekazywali prawdziwe historie sięgające wiele tysięcy lat wstecz. Przez długi czas indonezyjskie historie o istnieniu Ebu Gogo uważano za zmyślane, jednak czas pokazał, że takie istoty naprawdę kiedyś istniały. Opisy Toradżów w ciekawy sposób korelują z podobnymi historiami o przybyciu boskich istot, które znajdziemy w przekazach różnych ludów na całym świecie. Relacje z Wysp Salomona i Markizów, a także opowieści Aborygenów, Inków oraz Aleutów są bardzo podobne do tych z Sulawesi. Zdaniem jednych, historie te są dowodem na istnienie pradawnej zaginionej ludzkiej cywilizacji, zniszczonej 12 000 lat temu w wielkim kataklizmie. Grupa ocalałych osób miałaby krążyć po świecie i krzewić dawną wiedzę, zakładając nowe ośrodki cywilizacji. Inni z kolei wskazują, że tajemnicze istoty mogły być przybyszami z kosmosu. Naturalnie brakuje dowodów na poparcie tych hipotez, jednak warto mieć na uwadze

niezwykłe historie z Sulawesi.

Nas najbardziej powinien zainteresować wątek „Plejad”. To właśnie tę małą konstelację gwiazdną Toradżowie wskazują jako miejsce, skąd przybyli „praojcowie ziemi”. Postanowiliśmy zacytować fragment książki Petera Fiebaga „Kosmiczne rytuały ludów pierwotnych”, którą wydało wydawnictwo PROKOP.

Mniej więcej przed 1200-1500 laty boski Tamborolangi przybył z gwiazd na Ziemię. Wylądował w Tana Toradża, niedaleko Rantepao. Pieśni Toradżów opisują jego pojazd jako „budowlę z żelaza”. Trzeba sobie jednak przy tym istotne pytanie: Kto naprawdę wylądował w Tana Toradża gwiazdnym statkiem? Gość z kosmosu?

GWIEZDNE MITY TORADŻÓW

„Cały Wszechświat jest kosmiczną księgą, rękopisem, olbrzymim zwojem papiirusu, stworzonym przez bogów. Próbuje odczytać ten, który odwinęliście, i zrozumieć boskie objawienie” – Hermes Trismegistos, „Egipska księga umarłych”.

Wydaje się, że nasz świat, ukształtowany przez internet, technikę komputerową i inżynierię genetyczną, łatwo zapomina o swoich korzeniach. Mityczne czasy są dla nas odległe. Ale żyją jeszcze ludy, przywiązane do swojej pradownej religii i obrzędów. Każdy z nas może wybrać się w podróż do tej zagubionej epoki i do tego świata. Będzie tam na nas czekać fantastyczne przesłanie: ludzi odwiedzały istoty z gwiazd. Powątpiewają Państwo? Proszę więc wybrać się ze mną na Sulawesi, do kraju Toradżów.

„To była sztuka naszych przodków, to była sztuka naszych praojców. Nasi pierwsi przodkowie, oni zstąpili z Kosmosu, nasi praojcowie z czasów po drugiej stronie pamięci, oni zstąpili z gwiazd.”

Te pradowne wersy, wypowiedziane przez animistycznego szamana, zapisał holenderski misjonarz i badacz dr Hank van der Veen

około 1960 roku podczas pradawnego święta marok, odprowadzanego przez Toradżów z Celebes. Zapalnik prehistorycznej bomby zaczął działać. Bo to, co dotąd przekazywano ustnie ze stulecia na stulecie, z pokolenia na pokolenie, weszło do świata współczesnej techniki, lotów kosmicznych, z powrotem do gwiazd, z których niegdyś przybyli przodkowie Toradżów.

Dziś wyspa Celebes nazywa się Sulawesi i należy do Indonezji, największego archipelagu Ziemi, obejmującego łańcuch wysp, ciągnący się wzdłuż równika na przestrzeni ponad 5000 kilometrów. Pięć tysięcy kilometrów równa się odległości od Hiszpanii do Iranu. Wędrowki ludów między wyspami, trwające wiele tysiącleci, zaowocowały barwną paletą kultur, jakiej nie ma nigdzie indziej na naszej planecie.

Mieszkańcy Indonezji żyją w świecie ogromnych kontrastów. Między dzielnicami banków a dzielnicami nędzy dzieci oglądają filmy kung-fu albo amerykańskie kryminały i wysłuchują najnowszych komunikatów o wynikach Bundesligi. Tuż obok szaman odprawia święte obrządki, a parę wysepek dalej 13 sierpnia 1995 roku odkryto zupełnie nieznane plemię kanibali, żyjące w epoce kamienia i „mieszkające nago na drzewach”. W Indonezji żyje dziś około 350 grup etnicznych – każda ma własny język, własną kulturę i własną religię.

Sulawesi leży na północ od Bali, na wschód od Borneo i na zachód od Nowej Gwinei. Wyobrażamy sobie zwykle, że wyspy są okrągłe bądź owalne. Ale Sulawesi zupełnie nie pasuje do takich wyobrażeń. Przypomina ośmiornicę, która rozpościera ramiona po Oceanie Spokojnym. Niczym pająk czyha, zawieszona w niewidzialnej sieci, albo unosi się na grzebieniach fal piękna jak orchidea. Jej wybrzeże jest tak poszarpane, że portugalscy odkrywcy długo uważali ją za archipelag.

Pełna zakrętów droga biegnąca wzdłuż urwisk prowadzi nas przez tropikalne góry na wyżynę w centrum Sulawesi. Naszym celem jest Tana-Toradża (Tana-Toraja), kraina Toradżów o pięknym krajobrazie – niezwykle atrakcyjna dla etnologa.

Przez Sulawesi przeszło z biegiem tysiącleci wiele fal wędrowców. Ale w odległych dolinach ludy żyły nadal wedle pradawnych wzorów. Tereny góryste chroniły mieszkańców przed wojowniczymi plemionami z wybrzeży i armiami kolonialnymi z Portugalii i Holandii. Dopiero więc około 1890 roku holenderski awanturnik van Rijn dotarł do krainy Toradżów i zdał relację o tym plemieniu łowców głów praktykujących wtedy nadal niewolnictwo. Rozkwit imperializmu spowodował, że kraje kolonialne sięgały nawet po najdalsze regiony ziemi. Zanim którykolwiek z ich rywali się zorientował, Holendrzy wdarli się do Tana-Toradża. Od 1905 roku, prawie przez dwa lata, Toradżowie, którymi władał król Palodang XII z Sangalla, stawiali opór najeźdźcom. Znacznie nowocześniejsza europejska technika wojskowa przeważała szalę zwycięstwa na stronę Holendrów. Od 1913 roku do krainy Toradżów za żołnierzami zaczęli napływać misjonarze i urzędnicy, rozpoczynając nawracanie tubylców. Nie udało się to jednak do końca, choć obecnie około 80% ludności wyznaje wiarę chrześcijańską (w 1950 roku było to dopiero 10%). Bo społeczne i religijne tradycje tego ludu zmieniły się w istocie do dziś w bardzo niewielkim stopniu. Zawdzięczać to należy – choć może zabrzmieć to osobliwie – również turystyce, zwiększającej się od kilku lat. Wprawdzie islamskie władze w Dżakarcie zabroniły wyznawania politeizmu – czyli wielobóstwa – i kultywowania dawnych pogańskich religii, dla Toradżów jednak (oraz dla Balińczyków) zrobiono wyjątek. Kultywowanie dawnych obrzędów ściąga do kraju turystów oraz ich pieniądze.

Do Tana-Toradża dotarłem z nadejściem nocy – ziemię zlewały strugi wody. Na Sulawesi nastała pora deszczowa. Ale kiedy nazajutrz rano podniosły się srebrzystobiałe mgły, ukazał się rajski krajobraz: złociste zagajniki bambusów kołysały się lekko na wietrze, na tarasowe pola ryżowe – szmaragdowozielone – niewielkimi kanałami płynęła woda, kwiaty lśniły czerwienią pod lazurowym niebem. Przybyłem tu z niewielką grupą naukowców obejrzeć archaiczny obrzęd, zawierający w sobie opowieść o locie kosmicznym do Plejad.

W STATKU KOSMICZNYM DO PLEJAD

Ścieżka, którą idziemy, wije się wąskimi groblami wzdłuż pól ryżowych. W porze deszczowej oznacza to drogę przez bagno i błoto. Nogi rozjeżdżają się na śliskiej ziemi jak na desce posmarowanej mydłem, szczególnie kiedy idzie się pod górę. Nad strumieniami przechodzimy po oślizgłych prętach bambusa przesuwając ostrożnie jedną nogę za drugą. Możemy się tylko przyglądać ze zdziwieniem, jak lekko i swobodnie idą z nami bosi Torażowie świątecznie ubrani. Na plecach niosą szczeciniaste świny, które przywiązane do bambusowych stelaży sterczą im aż nad głowę. Są to kwiczące ze śmiertelnego strachu przyszłe ofiary, które złoży się podczas uroczystości.

Po długim marszu słyszymy wreszcie z oddali pradowe pieśni. Na skraju drogi pojawiają się osobliwe domy, których gigantyczne siodłowate dachy tkwią niczym statki niebieskie wśród drzew. Wokół nas gromadzi się coraz więcej ludzi, ludzie siedzą też i stoją przed domami, przypominającymi ponure olbrzymy. W końcu stajemy wśród setek ludzi na rante, placu, gdzie odbywają się najważniejsze uroczystości wsi.

Przybyliśmy zobaczyć obrzęd odprowadzający dusze zmarłych. W niewielkich procesjach, wedle hierarchii, przybyli goście przechodzą przez kultową bramę, przy której pełnią symboliczną straż dwie młode kobiety ubrane na żółto. Z czasem przyprowadza się coraz więcej zwierząt ofiarnych, a opaleni na brązowo mężczyźni w sarongach tańczą przy dźwiękach towarzyszących ma'badon – rytuałowi zmarłych, równie staremu jak plemię Toradżów – będącemu częścią wielkiej opowieści Rambu-Solo.

W przekazie tym uwidacznia się religijne sedno dawnego wyobrażenia kultowego, zwanego Aluk Todolo. Część plemienia wyznaje jeszcze religię praojców – wierzą oni w skomplikowaną historię stworzenia, w której kluczową rolę odegrali bogowie. Toradżowie znają jednego wszechobecnego, wszechmocnego boga stworzenia, który nazywa się Puang Matua; znają dobre i złe

duchy, cała zaś przyroda, kamienie, rośliny, zwierzęta i ludzie zawierają w sobie energię duszy, skupiającą się w człowieku, bawole i rosnącym ryżu. Po śmierci dusza zasadnicza wyrusza w podróż do Puya, tajemniczego kraju na Zachodzie, poza Ziemią.

Siebie zaś uważają Toradżowie za dzieci gwiazd, Plejad. Takie przekazy zawiera ich mitologia. Z gwiazd bowiem przybyli niegdyś ich bogowie i przodkowie.

„Jego narodziny równały się narodzinom księżyca – tak zmarłego wychwalają tancerze – jego nadejście było jak nadejście tego z Plejad. Była wówczas w niebie wykopana dziura...”

Zanim zasadnicza dusza zmarłego uda się w podróż do gwiazd – pokonując setki gór i tysiące dolin, a w końcu niebo gwiaździste – trzeba odprawić skomplikowane obrządki. Młodzieńcy stoją w wielkim kole twarzą do środka i dotykając się lekko małymi palcami powiększają i zmniejszają krąg, poruszając się jednocześnie powoli zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Upiornie i hipnotycznie brzmią pieśni – tancerze z zamkniętymi oczyma poruszają się w transie. Tak próbują nawiązać kontakt z przeszłymi i przyszłymi pokoleniami. Na koniec rozkładając szeroko ręce wygładzają „powierzchnię niewidzialnych wód w Kosmosie”, żeby zmarły mógł je przekroczyć i wyruszyć w podróż do gwiazd.

Również przodkowie nie powinni w tym innym świecie doznać niedostatku. Dlatego żywi składają im obfitą krwawą ofiarę. Święto zmarłych osiągnęło już jeden z punktów kulminacyjnych. Nożem, który wygląda jak miecz, podrzyna się tętnicę szyjną kolejnego bawołu. Tryska krew i wykrwawiając się powoli sympatyczne i spokojne zwierzę pada na miejsce ofiarne, pełne krwi i błota. Teraz przybiegają chłopcy i wkładają w ranę grube, zaostrome rury bambusowe, które napełniają krwią. Mężczyźni zręcznie dzielą mięso siekierami i nożami, rozdając je gościom uroczystości wedle ich rangi.

Dla Toradżów, co dla nas może być okropne, zabijanie na rante tyłu bawołów, świń i kur jest najzupełniej logiczne, humanitarne. Bawoły domowe i świnie są obiektami prestiżowymi, miernikiem wartości pozycji społecznej, jaką zajmował zmarły i którą ma zachować w przyszłości. Gwarantuje to nieboszczykowi powodzenie w Puya. Dlatego wszystko odbywa się dokładnie według przepisów adat (boskiego przekazu, który stał się prawem zwyczajowym) – w długiej drodze będą mu towarzyszyły dusze zwierząt, co zapewni wstęp do gwiazdnego królestwa. W przeciwnym razie jego dusza błąkałaby się po świecie, naprzykrzając się i zakłócając spokój żywych.

Około stu najdroższych bawołów – najwartościowsze są te w białe łaty, które hodowano i oporządzano na tym świecie – podąży za członkami rodziny królewskiej na tamtą stronę. Bawół domowy bowiem ma obok człowieka największe siły duchowe i dlatego powinien towarzyszyć zmarłemu jako wierny przyjaciel, bo wraz z nim przybył na Ziemię. Masowe zabijanie zwierząt stanowi jednak duże obciążenie finansowe i wielokrotnie zdarzało się, że doprowadzało całe rodziny do ruiny. Każdy dar dla zmarłego jest skrupulatnie odnotowywany, bo pewnego dnia obdarowani oddadzą „podarunki”, kiedy umrze darczyńca. Branie i dawanie spaja rodzinę na przestrzeni wielu pokoleń.

Ze względu na wysokie koszty rząd – przedtem czyniły to władze kolonialne i kościelne – od dawna próbuje ograniczyć te święta, ale Toradżowie nie chcą zrezygnować z ani jednej części uroczystości za duszę ojca, matki, siostry czy brata. Bo, choć może zabrzmi to dla nas nielogicznie, całe życie Toradżów nastawione jest na śmierć. Tylko jeśli dokładnie odprawi się obrzędy, tylko jeśli dusza zabierze dary na dalsze życie w gwiazdnym świecie, zmarłemu nie będzie nic brakować w przyszłości.

Śpiew narasta i przycicha. Wdowiec i krewni zmarłej witają nas uprzejmie, kiedy przekazujemy rytualny dar. Zajmujemy miejsce w chacie obok domu zmarłych, w którym stoi ustrojona trumna. Pojawia się kawa, herbata, ryż i pieczywo. Rytualny posiłek

jest dla Toradżów nierozzerwalnie związany z każdym świętem ofiarnym. Rodzaj, barwa i liczba dań są dokładnie określone. W ten sposób ofiary nie są marnotrawione – wracają niejako do ofiarodawców.

– Zmarła babcia należała do najwyższej warstwy społecznej, dirapai – opowiada znajomy z Rantepao, sekretnej stolicy tego okręgu. – Ofiary muszą być więc odpowiednio duże, zmarła czeka też odpowiednio długo na pogrzeb: siedem lat.

– Siedem lat? – pytamy ze zdumieniem. – W tym klimacie?

Mieszkańcy wsi opowiadają nam szczegółowo, jak preparowano, odwadniano i mumifikowano zwłoki kobiety, której imienia nie wymawia się nigdy podczas trwania obrzędu. Wierzą jednak, że póki uroczystość się nie rozpocznie, zmarłej nie uważa się za zmarłą, ale najwyżej za chorą i codziennie zanoszą jej jedzenie. Wszystko to wiąże się z prądką religią.

Tymczasem z placu dobiegają pieśni, mówiące o życiu zmarłej: o wyższości jej osoby nad innymi, o jej cudownych narodzinach, po których pogrzebano łożysko i pępowinę, o jej młodości i małżeństwie, o jej chorobie, o świętach dziękczynnych, które obchodziła i bez których nie mogłaby teraz dotrzeć do swoich przodków.

Toradżowie po raz kolejny zapewniają w słowach pieśni, że kraj ich przodków nie leży na tej ziemi, że nie jest tożsamy ze światem podziemi, lecz że nieboszczyk wstąpi do nieba, aby stać się częścią kosmicznego gwiazdozbioru. Tam zamieszka u bogów i dostąpi boskości. Toradżowie nie wyobrażają sobie wcale, że nastąpi to na drodze duchowej, bo pojęcie „duchy” nie pojawia się w pieśniach na cześć zmarłej ani razu. Wyobrażenie jej podróży przez Kosmos jest bardzo plastyczne i sugeruje raczej, że odbywa się ona w statku kosmicznym: „Gwiazdy stoją więc między nią a nami [...]. Unosi się na południu jak palma [...]. Wstąpi teraz na firmament. Obierze drogę do niebieskich gwiazdnych sfer. Tam stanie się istotą

podobną bogom [...]”.

Potem pije się task, sfermentowane wino palmowe. Po siedmiu dniach święto się kończy a zmarła znajduje miejsce ostatniego spoczynku w skalnym grobie, w strzelających w niebo skałach, skąd już blisko do gwiazd.

NIEZWYKŁE DOMY TORADŻÓW

Dziś wiemy, że Toradżowie należą do grupy protomalajskiej albo paleomongoloidalnej, która przed około 3500-4000 lat przybyła tu z Indochin albo Kambodży na Sulawesi. Sami opowiadają, że ich pierwotną ojczyzną była legendarna wyspa Pongko, leżąca na północ od Sulawesi. Najnowsze badania DNA, przeprowadzone przez Geoffreya Chambera i Rosalindę Murray-McIntosh z nowozelandzkiego Uniwersytetu Wirginia, świadczą o tym, że migracji na Filipiny, na Polinezję, na Nową Zelandię i w region indonezyjski dokonywali być może „koloniści” bezpośrednio z samych Chin. Pongko, tajemnicza ojczysta wyspa Toradżów, byłaby więc zapewne ostrowiem, spełniającym funkcję trampoliny, którą ta grupa ludnościowa wykorzystwała w trakcie wędrówki. Toradżowie wszakże opowiadają, że właśnie tam w zamierzchłej przeszłości wylądowali ich najdawniejsi przodkowie, przybyli z Kosmosu. Kilka wieków później Toradżom zaczęła zagrażać flotylla statków z nieznanymi wojownikami na pokładzie. Kiedy Toradżowie zamierzali stanąć do walki, ich łódzie dostały się w silny sztorm i zdryfowały gdzieś daleko. W końcu Toradżowie wylądowali na Sulawesi. Napływające ludy wyparły ich później z regionów nadbrzeżnych w głąb wyspy. Fragmenty mitu potwierdają dziś prehistoryczne znaleziska. Toradżowie ruszyli wzdłuż rzeki Sa'dan w górzyste południowe i zachodnie regiony Sulawesi. Stamtąd rozprzestrzeniali się powoli powiększając swoje terytorium, które określali jako kraj „okrągły niczym księżyc i mający kształt słońca”.

W poszczególnych częściach tego obszaru wykształciły się z biegiem czasu różne dialekty, a obrzędy zaczęły się nieco różnić od siebie. Ale ich rdzeń pozostał wiążący dla

wszystkich Toradżów. Pełne dawnej symboliki są więc nie tylko tańce, ceremonie składania ofiar i pieśni, lecz również budowle Toradżów, tak zwane rumah adat.

Drewniane domy mieszkalne po jednej stronie i niewiele mniejsze spichrze ryżowe po drugiej godnie i z wyższością patrzą na przybyszów. Wznoszą się na potężnych kolumnach. Zbudowano je bez jednego gwoźdźdź i przykryto charakterystycznym, wystającym do przodu dachem z prętów bambusa. Ściany zewnętrzne czworokątnej budowli stojącej w środku są zdobione motywami w czerwieni i bieli – barwach krwi i kości człowieka. Żółta barwa wzorów jest kolorem bogów, czarna – śmierci.

Najważniejszą budowlę wsi tubylcy nazywają tongkonan, łącząc z nią przekonania świeckie i religijne oraz liczne opowieści mitologiczne. W domu tym mieszka z rodziną naczelnik wsi, którego genealogia sięga nierzadko boskich praojców i powinna przypominać o hierarchii rodzin arystokratycznych, które jako jedyne mają prawo wznieść ten dom.

Tongkonan, dom plemienny, jest zawsze budowlą wznoszoną jako pierwsza, a symbolizuje ona skomplikowane odgałęzienia drzewa genealogicznego założyciela wsi, od którego po dziś dzień każdy członek plemienia może wywieść swoje pochodzenie. Miejsce zamieszkania kieruje się przodem ku północy, ku sferze życia, królestwu bogów, od których pochodzą przodkowie Toradżów. Tongkonan stanowi punkt orientacyjny dla pozostałych wiejskich budowli. Potężną drewnianą kolumnę zdobią bawole rogi, pochodzące z uroczystości pogrzebowych, a rogi w obrębie dachu pochodzą z ofiar obrzędowych składanych z okazji wzniesienia domu. Rzeźbione i malowane ornamenty zdobią nawet belki poprzeczne. Wykonuje się je po dziś dzień według przepisów adat, praw boskich. Nawet układ zmieniających się naprzemiennie rytów – romboidalnych, czworokątnych i haczykowatych – jest określony i ma znaczenie sakralne. Znajdujemy w nich najstarsze symbole religijne, passuro' todolo, ludu, który nigdy nie przedstawiał wizerunków swoich

bogów.

Etnolodzy wysnuli wniosek, że Toradżowie kształtem swoich domów naśladują statek, którym dotarli niegdyś na wyspę. W minionych dwudziestu latach tę pochodzącą z lat dwudziestych interpretację autorstwa holenderskiego misjonarza i entografa A. C. Kruyta podano jednak zdecydowanie w wątpliwość. Nowe badania wykazały bowiem, że jest to interpretacja niewystarczająca. Dawne źródła nie potwierdziły podobieństwa kształtu domów Toradżów do statków, na których kiedyś pływano. A ponieważ wyraźne jest podobieństwo tych budowli do budowli wznoszonych na Borneo, Halmaherze, w Mikronezji i na Nowej Gwinei, odstąpiono od tej teorii, faworyzowanej przez długi czas; także tezę, że konstrukcje dachów wywodzą się z chińskiej kultury Dong Song (ok. 500 r. p.n.e.), neguje dziś większość naukowców, bo ocenia się, że jej wczesne formy liczą sobie ponad 3500 lat.

Badaczka kultury Toradżów, dr Nooy-Palm, pisze w związku z tym, że Toradżowie „są wyrozumiali a nawet bardzo lubią spekulowanie na temat ich kosmologii”. A ludoznawca Nigel Barley, kustosz londyńskiego British Muzeum, wyraża się na ten temat bardzo sarkastycznie: „Nic dziwnego, że pierwsi podróżnicy chcieli wmówić Toradżom, że ich domy naśladują statki z jakichś ich dawnych wędrówek, wierzyliby w to chętnie sami Toradżowie – etnolodzy powinni o tym wiedzieć”.

Mity i hymny religijne Toradżów znad rzeki Sa'dan, Passomba Tedong, opowiadają jednak coś zupełnie innego. Dom interpretowany jest kosmologicznie i nie ma tam mowy o statkach. Dach kojarzy się z ptakiem, z lataniem. To symbol Kosmosu. Z bawolej głowy, umieszczonej nad wejściem, wyrasta katic, niebieski mitologiczny ptak o długiej szyi, który podkreśla wymowę tego symbolu. Słoneczna tarcza jest kolejnym symbolem Wszechświata, podobnie jak kogut na dwuspadowym dachu. Głowa koguta wiąże się z gwiazdozbiorem Plejad i Syriuszem. Tongkonan po dziś dzień wznosi się frontem na północ. Ta strona świata symbolizuje dla Toradżów wyższy

świat, sferę życia, królestwo bogów. Toradżowie mówią: „Północ jest głową firmamentu, Wszechświata”.

Językoznawca i urodzony Toradża Armin Achsin sformułował to następująco: „Dom tongkonan stanowi symbol Wszechświata. Dach reprezentuje niebo i jest utożsamiany z Kosmosem. Kolumna centralna [...] łączy ziemię z firmamentem”.

GWIEZDNE WROTA – BRAMA BOGÓW

Taka jest więc historia najdziwniejszych dachów, jakie kiedykolwiek widziałem. W swoich śpiewanych mitach Toradżowie opowiadają, że bardzo, bardzo dawno temu, niebo opuściło się do samej ziemi. I powstałi trzej synowie niebiescy. Jeden z powrotem wszedł do nieba, drugi skierował się do świata podziemi, trzeci zaś, Gauntikembong, został na ziemi i poślubił dewata, boską istotę żeńską. Mieli ośmioro dzieci, które musiały wykonać ważne zadania. Jedno z tych dzieci stało się przodkiem Puanga Matui, który został najpotężniejszym z bogów. Bóg Puang Matua stworzył człowieka.

Mniej więcej pięćdziesiąt pokoleń wstecz, czyli przed około 1200-1500 laty, boski Tamborolangi przybył z gwiazd na ziemię i poślubił kobietę o imieniu Sandabilik. Tamborolangi podróżował wiele razy między niebem a Ziemią. Pewnego dnia wszakże się rozgniewał i zniszczył niebiańskie „schody”. Ale ponieważ jeszcze raz chciał przybyć na Ziemię, przyleciał tu swoim niebiańskim „domem”. Wylądował w górach Ullin, w Tana Toradża, niedaleko Rantepao. Tak więc domy Toradżów naśladują kształtem gwiazdny statek, który przywiózł niegdyś Tamborolangiego z Plejad na Ziemię.

Świąteczne pieśni merok opisują ten pojazd jako „budowlę z żelaza”, zbudowaną w Kosmosie. To „opuszczający się dom”. Szczyt frontowy jest określany mianem ba’ba deata, „brama bogów”, pozostała część frontu lalan deata, czyli „droga bogów”. Pieśń merok (26, 38) mówi nawet, jak boscy przodkowie po wylądowaniu zebrali się najpierw pod latającym domem, koło

bambusowego płotu strony zachodniej.

Cóż to za bogowie wylądowali w Tana Toradża gwiazdnym statkiem z metalu, otworzyli właz i jak astronauta po locie kosmicznym zeszli na ziemię? Bogowie, którzy pierwotnym mieszkańcom tego kraju przekazali prawa i technikę, a po jakimś czasie odlecieli z powrotem ku jednej z gwiazd w gwiazdozbiore Plejad? Jeszcze dziś Toradżowie określają swoją religię jako manurun di langi, co znaczy: „to, co przybyło z nieba”. Czy goście Toradżów byli prehistorycznymi astronautami, przybyłymi z Kosmosu? Istotami pozaziemskimi?

Toradżowie uważają do dziś, że oni także są dziećmi gwiazd. Podczas uroczystości merok opiewają swoich przodków, pierwszych ludzi, którzy przybywszy z Kosmosu wylądowali na mitycznej wyspie Pongko' w rejonie Tana Toradża.

W trakcie rzadko odprawianego święta bua, które ma zapewnić dostatek ludziom żyjącym we wspólnocie wraz ze zwierzętami i roślinami, na świątecznym placu buduje się wysoką wieżę, znawaną gorang. Symbolizuje ona centrum Kosmosu. Kobiety owijają się w żółte szaty; kolor żółty bowiem symbolizuje świat wyższy. Potem przeciągają w procesji wokół gorang. W ten sposób przedstawiają podróż przez Kosmos. Podczas procesji unosi się i opuszcza lektyki, aby wywołać wrażenie lotu.

I znów Toradżowie opowiadają o Tamborolangim i jego gwiazdnym statku. O jego żonie i trzech synach. Każdy z nich założył jedno królestwo. Ich następcy panowali przez pięćdziesiąt pokoleń nad krajem Toradżów. Dopiero wraz ze śmiercią króla Sangalli, Palodanga XII, która nastąpiła w 1968 roku, panowanie to zostało oficjalnie zakończone. Nieoficjalnie jednak nadal żyje ród królewski, który swoje pochodzenie, legitymizację i autorytet wywodzi od istot z gwiazd. Toradżowie oddają książętom cześć tak samo jak ich przodkom. Bo w ich żyłach płynie wciąż część białej krwi (analogicznie do błękitnej krwi arystokracji europejskiej) niebiańskich ojców, którzy nosili takie imiona, jak Manurun diLangi', czyli

„on-przybył-z-Kosmosu”.

Niezwykle fascynująca jest podróż po Tana Toradża i zwiedzanie wsi. Ponieważ bogowie i przodkowie zstąpili z nieba i wylądowali na górze „tongkonanem z metalu”, Toradżowie budowali dawniej wsie na szczytach gór. Dwadzieścia, czterdzieści, sześćdziesiąt domów strzelających w niebo niczym statki kosmiczne stoi jakby w pełnej gotowości do startu. Ci Toradżowie, którzy dysponują podstawowymi informacjami o pradawnej wierze, wiedzą, że to tylko naśladownictwa. Wiedzą jednak i to, że pewnego dnia z nieboskłonu spłyną i wylądują oryginały – i zabiorą ich do kosmicznej ojczyzny.

Takie zachowanie, głęboko zakorzenione w religii, strukturach społecznych i politycznych, nowożytna nauka zna z rozwoju porównywalnych kultur. Są to dziewiętnasto- i dwudziestowieczne kulty cargo, o których pisałem ze swoim bratem, dr. Johannesem Fiebagiem, w poprzednich książkach. Warto jednak z tego bogatego zbioru zjawisk socjoreligijnych wyłować kilka wyrazistych przypadków.

KULTY BOGÓW

Tak zwane ludy pierwotne, żyjące jeszcze na przednaukowym, przedtechnicznym etapie rozwoju, mogą w swój obraz świata wbudować zdarzenia, wykraczające daleko poza horyzonty ich kultury, tylko dzięki irracjonalnym wzorcom wyjaśnień. Siłą napędową tych kultów stają się przede wszystkim podarunki, cargo (ang. „towary”). Europejczycy czy Amerykanie, którzy nieoczekiwanie i w sposób „nadnaturalny” wtargnęli do ich świata, dawali im często gościńce albo przedmioty na wymianę, które dla plemienia miały wielką wartość: żelazne siekiery, noże ze stali szlachetnej, mieniające się perły albo nieznane jedzenie. Dla „ludów pierwotnych” wszystko było niezrozumiałe: magię stanowiły działania obcych i przedmioty, jakimi się posługiwali (lądowanie samolotu, fotografowanie, gramofon, radiostacje, latarki i lampy błyskowe). W ich rozumieniu przybysze byli istotami z innego świata – bogami albo duchami.

Historie związane z kultem cargo rzucają zdumiewające światło także na historię Toradżów. Pierwsze zdarzenie opisał australijski badacz, kapitan Frank Hurley, w książce *Perlen und Wilde* (Perły i dzicy). Po pierwszej wojnie światowej Hurley wyruszył na największy niezbadany wówczas obszar Ziemi – pomijając Antarktydę – w dziki świat mokradeł i gór Papui-Nowej Gwinei, wyspy sąsiadującej z Sulawesem, do ludów, „które tkwiły jeszcze w epoce kamienia, do ludożerców, łowców głów”. Towarzyszył mu australijski naukowiec Allan McCulloch, trzech awanturnicy oraz kilku miejscowych tłumaczy i tragarzy. Statek „Eureka” służył za obóz-bazę, a wodnosamolot „Mewa”, radiostacja, urządzenia do nagrywania dźwięku i sprzęt fotograficzny uzupełniały wyposażenie badaczy:

„Schodziliśmy lotem ślizgowym coraz niżej i niżej, aż w końcu dolecieliśmy nad brzeg w pobliżu wioski [...]. Chmary przerażonych tubylców w łodziach uciekały wiosłując. „Eureka” dopłynęła tu kilka godzin wcześniej, a wieść, że przybędziemy przeniknęła aż do wsi [...]. Kiedy po wylądowaniu powoli zbliżaliśmy się do statku, od brzegu odbiło czterdzieści wielkich dłubanek z wojownikami i zaczęło okręzać »Mewę«; uderzali przy tym wiosłami o burty łodzi, co brzmiało niczym dudnienie grzmotu. Było to dzikie, barbarzyńskie powitanie, którym pozdrawiały nas dawno minione, zamierzchłe czasy [...]. Ku naszej konsternacji Lang i ja stwierdziliśmy, że uznano nas najwidoczniej za istoty nadnaturalne oraz że samolot stał się przedmiotem czci i lęku [...]. Po naszym przybyciu wodzowie Kau, Api i Kaumali złożyli nam oficjalną wizytę [...]. Na zlecenie ludności wsi ofiarowali nam świnie jako gest przyjaźni dla „łodzi-należać-dwaj-bogowie”. Ponieważ zależało nam na jak najdłuższym zachowaniu szacunku, jakim nas darzono, przyjęliśmy z godnością prezenty i świnie, którą uroczyście złożono o zachodzie słońca na dziobie wodnosamolotu pełniącym rolę ołtarza [...]. W nocy posłałem łodzią Dogai i Dagodo, żeby przywieźli świnie na pokład statku. Rankiem wysłańcy wsi przybyli zobaczyć, co ze świnia – kiedy ujrzeli, że zniknęła, zapanowała wśród nich wielka radość. Podczas naszego pobytu co

dzień specjalny komitet Kaimar składał ofiarę dla przebłagania »diabła, który sfrunął z nieba«. Każdego ranka nastawała wielka radość wśród mieszkańców wsi, którzy w zniknięciu podarku widzieli znak, że zły duch zjadł ich ofiarę i był nastawiony przychylnie”.

Podobnie było także w innych wioskach. W Hanauabada Hurley tak opisał start samolotu: „Maszyna sunęła po wodzie, potem zawróciła i ruszyła pod wiatr. Lang otworzył przepustnicę do końca i »Mewa« popędziła dumnie i tryumfalnie jak zwinny ptak, przeskakując grzebienie fal, aż wzniosła się w powietrze. Z ust widzów nie padło ani słowo. Stali urzeczeni widokiem nadnaturalnego zjawiska, dopóki maszyna, niczym cyklon niszczący wszystko na swojej drodze, nie ruszyła wprost na nich. Ależ to był wrzask! W powietrzu krzyżowały się krzyki przerażenia, a warkot »Mewy« rozbrzmiewał nad osadą, której mieszkańców ogarnęło najdziksze podniecenie. Słudzy uciekali z domów [...]. Wszyscy stali na ulicach, wyciągają szyje ku niebu. To był szal. Nasilały się okłaski, okrzyki radości i zachwytu. Opowiedziano mi później, że wielu co bardziej prymitywnych tubylców całkiem straciło panowanie nad sobą; zrywali sobie z bioder lawa lawa i wywijali nimi nad głową jak szaleni, nie bacząc na swoją pierwotną nagość [...]. Lang okrążył miasto i zadowolony z próbnego lotu z gracją mewy wylądował na wodzie. Jeszcze nigdy pilotów nie witano z takim zachwytem jak Langa i Hilla, gdy stanęli na kotwicowisku. Langa uważano za boga albo za diabła, a wodnosamolot był przedmiotem czci i lęku”.

Istnieje wiele podobnych relacji. Mick Leahy, awanturnik, który około 1930 roku poszukiwał złota w Papui-Nowej Gwinei, powiedział w jednym z wywiadów: :”hyba naprawdę myśleli, że jesteśmy nadludźmi [...]. Próbowaliśmy im wytłumaczyć, że nie kradniemy ziemi, ale zamierzamy ją tylko przygotować do lądowania wielkiego ptaka [...]. Pomagali nam chętnie, śpiewając i tańcząc [...]. Setki ludzi śpiewały bez przerwy. Za pomocą gestykulacji przekazano im kilka dni wcześniej, że przybędzie „Barlus” – zauważył jego brat. – Nie wiedzieli, co to jest.

„Barlus” to ptak, który przybędzie z powietrza, czyniąc hałas [...]. Wyląduje i wiele rzeczy wyjdzie z jego brzucha.”

Tymczasem tubylcy czekali na dobre rzeczy, które przybędą z nieba. Kiedy samolot pojawił się w zasięgu wzroku, wszyscy byli przerażeni. Pewna kobieta, będąca naocznym świadkiem tamtego zdarzenia, tak o tym opowiedziała: „Usłyszeliśmy hałas i padliśmy na ziemię. Ze strachu i bezradności zanieczyściliśmy się moczem i kałem”.

Inny świadek opowiada: „Dobrze pamiętam pierwszy samolot: myślałem, że to olbrzymi ptak. Wszyscy się pochowali. Parę osób wskoczyło do rzeki. Inni ukryli się w zaroślach”.

Jeszcze inny Papuas tak relacjonuje to zdarzenie: „Panował okropny ścisk, wszyscy krzyczeli z przerażenia: „To koniec!” Master Mick uspokajał: „Nie bójcie się, on tylko przywozi towary!” Ale wszyscy – zrozumiałe – milczeli nie wiedząc, co będzie”.

To zdarzyło się też w przypadku Franka Hurley’a. Jeszcze wiele dni po jego przybyciu nikt nie pracował. Hurley zapisał: „Wszyscy mieszkańcy osady zgromadzili się, żeby mówić o »łodzi, która fruwa jak ptak«. Po dwóch dniach każde tubylcze dziecko miało model wodnosamolotu, który zbudowało sobie z zadziwiającą zręcznością z drewna drzewa kapokowego [...] i muszę przyznać, że przy sporządzaniu takiej zabawki tubylcy objawiali znacznie więcej przemyślności niż biali. Samoloty, które młodzi ludzie budowali jako zabawki, były wykonane niezwykle porządnie i dokładnie po najmniejszy szczegół. Śmigło zrobiono wyginając włókna palmy tak, że kręciło się ono na wietrze”.

Analogia tych zachowań do obrzędów i wyobrażeń Toradżów jest zdumiewająca. Po pierwsze – Hurley opisał, jak ludność tubylcza sporządzała z drewna modele niepojętego dla siebie samolotu, naśladując jego najdrobniejsze szczegóły i robiąc nawet śmigło. To samo mówią Toradżowie o swoich domach: ich

tongkonan są wizerunkami „zrobionych z żelaza latających mieszkań bogów, którzy przybywali z gwiazd”.

Po drugie – tubylcy żyjący na poziomie epoki kamiennej uznali pilota wyprawy Hurleya za boga. Wydaje się, że to samo uczynili Toradżowie ze swoimi „latającymi gośćmi”.

Po trzecie – członkowie plemienia Kaimari co dzień przynosili diabelskiej albo boskiej „istocie” świnie na ofiarę, wychodząc z założenia, że samolot pożera dar. Bardzo podobne zwyczaje zachowały się wśród Toradżów. Podczas wznoszenia domu na ołtarzu obok składa się w ofierze bawołu albo świnie. Toradżowie uważają po dziś dzień – jak pisze holenderska badaczka Nooy-Palm – swój dom z wklęsło sklepionym dachem za „antropomorficzny”, jest on więc dla nich zarówno domem mieszkalnym, jak i żywą istotą.

Po czwarte: Po wyjeździe białych powstawały w XIX i XX wieku u goszczących je plemion nowe prądy religijne, często integrowane z dawnym światopoglądem. Sensowne było bowiem powtórne przetworzenie tego, co się stało, i otrzymanie znów cargo od bogów. Dlatego w miejscach, w których lądował „cudowny wielki ptak”, tubylcy nadal składali ofiary ze zwierząt czy jedzenia roślinnego, aby w ten sposób zasłużyć na obfite prezenty. Friedrich Steinbauer doliczył się tylko w Melanezji prawie 180 takich kultów. Toradżowie swoim bogom, swoim przodkom w Puya albo z okazji wzniesienia domu składają jeszcze dziś w ofierze świnie, bawoły, ryż, wino palmowe itp., aby w odwzajemnieniu otrzymać obfite dary. O zmarłej mówią na przykład: „Będzie czczona tu na wysokości [...], aby obdarzyła nas swoją przychylnością [...], żebyśmy długo żyli”. Paralele są zdumiewające.

TANIEC ŚMIERCI I GŁOSY DUCHÓW

To, co przytrafiło się Frankowi Hurleyowi, było również udziałem wielu naukowców, awanturników, żołnierzy, misjonarzy i marynarzy. Już Krzysztof Kolumb czy James Cook byli czczeni

jako bogowie, a niekiedy uważano ich za przybyszy ze świata duchów. Na ten temat mamy interesujące wyniki badań prowadzonych w ostatnich latach na Papui-Nowej Gwinei. Etnolodzy wraz z grupą filmowców zestawili wypowiedzi dwóch poszukiwaczy przygód, braci Leahy, z wywiadami z żyjącymi jeszcze pierwotnymi mieszkańcami tego kraju, którzy mieli pierwszy kontakt z białymi jako dzieci. Zadziwiające jest, że niepiśmienni tubylcy nawet po tak długim czasie dokładnie pamiętają ówczesne zdarzenia, że tak dokładnie przywołują z pamięci wszystkie sceny, wymieniają imiona i określają miejsca, w których zaszły ważne zdarzenia.

Jeden ze świadków relacjonuje: „Usłyszeliśmy coś dziwnego przy przybywaniu błysku. Myśleliśmy, że biali są błyskami nieba. To mówili tutejsi ludzie”. Inny zaś uzupełnia: „Byli chyba naszymi przodkami, przybyłymi z królestwa zmarłych. Nie wiedzieliśmy, jak wygląda świat. Myśleliśmy, że jesteśmy jedyni. Myśleliśmy, że nasi zmarli tam idą. Tam stają się biali. A teraz wracają. Tak wyjaśniliśmy sobie przybycie białego człowieka. Zmarli do nas powracają”.

Jeden z braci, Mick Leahy, pamięta taki epizod: „Często, kiedy przybywaliśmy do wsi, zdarzało się, że jakaś kobieta łapała niespodziewanie za rękę któregoś z naszych chłopców, bo wydawał jej się bardzo podobny do syna zabitego na wojnie. Wierzyła święcie, że jej syn wrócił albo że zmartwychwstał z królestwa zmarłych. Na początku uważali nas za duchy, które przynoszą ich zmarłych. Nie mogliśmy im nic wytłumaczyć i z trudem udawało się nam opuścić wieś”.

To samo wyobrażenie stworzyli sobie członkowie innego plemienia. Pewien stary człowiek opowiada, jak zareagowali jego współplemieńcy, kiedy po raz pierwszy usłyszeli nagranie dźwiękowe. Na filmie utrwalono ten epizod sprzed siedemdziesięciu lat: biali przybysze przynieśli na plac gramofon; wokół siedzą i stoją nie spodziewający się niczego tubylcy; biali nakręcają gramofon i ku zdumieniu miejscowych puszczają amerykański przebój z lat dwudziestych. Zdumienie i

strach malują się na twarzach dzieci, kobiet i mężczyzn: „Usłyszeliśmy głosy i pomyśleliśmy, że ta skrzynka jest pełna duchów. Myśleliśmy, że tam są nasi przodkowie. Biali powiedzieli, żebyśmy tańczyli i zrobiliśmy tak. Myśleliśmy, że zmarli będą tańczyć razem z nami”.

Inny stary mężczyzna z tego plemienia dodaje: „A kiedy pierwsi biali przybyli do naszego kraju, mieli ze sobą łupinę i łopatę. Do łupiny nasypali soli, którą wypłukali w wodzie. Myśleliśmy: »Dawniej, kiedy umierali nasi przodkowie, paliliśmy ich zwłoki, zbieraliśmy kości, które potem wrzucaliśmy do wody«. Tak myśleliśmy, ujrzawszy łupiny, że wrócili nasi przodkowie, żeby zabrać swoje kości. Nic nie rozumieliśmy”.

Także Toradżowie przeżyli zapewne coś podobnego przed tysiącletkami. Oni też niewiele rozumieli. Skontaktowała się wtedy z nimi wysoka kultura. Istoty dysponujące rozwiniętą techniką nie pochodziły zapewne z Ziemi. Przybyły statkami kosmicznymi z Plejad, wylądowały u Toradżów, którzy uznali je za bogów, ale zarazem skojarzyli ze swoimi przodkami. Uważali, że statkami niebiańskimi wylądowali ich praojcowie, i do dziś uważają, że członkowie ich plemienia wracają po śmierci do gwiazd. Jeżeli z tym sposobem myślenia porównamy sposób myślenia Papuasów, zrozumiemy, dlaczego Toradżowie, znajdujący się mniej więcej na tym samym etapie rozwoju, doszli do takiego przekonania. Istoty, które ujrzeli, potrafiły robić rzeczy niepojęte. Być może prowadziły badania lekarskie na ludziach i zwierzętach – tak jak my robilibyśmy to dziś, gdybyśmy wylądowali na nieznanej planecie. Być może wzięli ze sobą wybrane „egzemplarze” do domu, a może nawet przywieźli je z powrotem. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby Toradżowie po takiej wizycie mieli nadzieję, że kiedyś wszyscy polecą do gwiazd i uzyskają nieśmiertelność tam, gdzie ich przodkowie żyją od niepamiętnych czasów.

Dr Lawrence Blair, profesor psychoantropologii Uniwersytetu Południowej Kalifornii, opisuje, jak Toradżowie nieśli do

grobu swojego ostatniego króla:

„Królewskie zwłoki [...] w sarkofagu, przypominającym udekorowany niewielki statek kosmiczny, położono na jakby marach. Na mniejszych marach leżało tau-tau [symboliczny wizerunek zmarłego – przyp. aut.] a na trzecich, ustrojonych czernią, niesiono wdowy [...]. Jedne i drugie mary były gwałtownie podnoszone i opuszczane. Miało to spowodować oddzielenie się ciała astralnego i ułatwić duszy powrót do gwiazd”.

Toradżowie śpiewali przy tym następującą pieśń: „Był przez bogów stworzony. Zstąpili na ziemię i poczęli go. Życie wypełniały mu wielkie czyny i mądre przemyślenia. Jego dusza wyrusza teraz w podróż na Zachód [...] i dociera do firmamentu. Wielki Niedźwiedź bierze zmarłego w ramiona, Plejady otaczają go ramionami, gwiazdy przytulają go do siebie”.

Wedle wierzeń Toradżów człowiek ma trzy dusze: „główną”, która wyrusza w podróż do gwiazd, mniej ważną duszę „dodatkową”, która integruje się z przyrodą, i duszę trzecią, która udaje się do grobu i objawia się w tau-tau. Skomplikowane obrządkie przy zmarłym mają zapewnić, że dusze zostaną potraktowane sprawiedliwie – zgodnie z aktualną funkcją. Tylko właściwa ceremonia pogrzebowa umożliwi zmarłemu podróż do Plejad.

Podczas pogrzebu, w jakim braliśmy udział koło Parinding, trumnę ze zmarłym pokrywały kosmiczne symbole: „On zasiada teraz wśród przodków. Przodkowie się cieszą. On znika teraz na zachodzie, gdzie zachodzi słońce” – śpiewają żałobnicy w monotonnie nasilającej się i cichnącej skardze. Do transportu trumny używa się miniaturowego domu, repliki tongkanan, mocno przywiązanego nad trumną. Przy wtórze głośnego płaczu i zawodzenia trumna jest potrząsana, a kondukt żałobny rusza. Tragarze, niosący ciężki ładunek, przechodzą przez bambusowy zagajnik, żeby dusza nie odnalazła drogi powrotnej do wsi. Dodatkową trudność dla niosących stanowi to, że ten ruchomy katafalk nie może dotknąć ziemi. Jeśli któryś z tragarzy się

poślizgnie, a trumna zsunie się na ziemię, to wielomiesięczne uroczystości pogrzebowe i kosztowne ofiary będą na nic. Całą uroczystość trzeba powtórzyć od samego początku.

Wprawdzie ludzie prości zostawiają swoich zmarłych w niewielkich replikach domów na cmentarzu, gdzie gnieje i trumna, i zwłoki, a biedacy po prostu wrzucają zmarłych do przepaści, to za najpewniejszy rodzaj podróży do gwiazd uważany jest grób w wysokich skałach. Im wyżej stał zmarły w ziemskiej hierarchii, tym wyżej wykuwa się dlań grób w wapiennych urwiskach. Po śmiałych konstrukcjach z bambusa trumnę wciąga się przy wtórze pieśni, aż dotrze do liang, czyli do komory, w której często spoczywają już przodkowie zmarłego i gdzie pewnego dnia znajdą ostatni spoczynek jego potomkowie. Tu będzie czekał na statki kosmiczne z Plejad i, jak pisze etnolog Nigel Barley: „Stamtąd wyruszy w długą podróż przez Kosmos, w podróż do gwiazd, z których niegdyś przybył”.

Toradżowie praktykują również inną interesującą formę pochówku. Jest to pogrzeb w drewnianych trumnach o nazwie erong. Za pomocą drewnianych belek i lin trumna taka jest umieszczana na kilkumetrowej wysokości w krasowych skałach. Takie „wiszące groby” znajdują się jeszcze w Suaya. Dziś pod skalną ścianą rozpościera się makabryczny widok: czaszki, kości i części trumien leżą porozrzucane malowniczo jak bierki, niektóre bujają się zaczepione o wiszące fragmenty trumien. Ale ludzie uważali, że w wiszących trumnach łatwiej będzie ich zabrać w podróż do gwiazd. Bo Puang Tamborolangi miał taki banua ditoke, wiszący dom, który latał między niebem a Ziemią, a raz wylądował na Kandorze, górze wznoszącej się około pięciu kilometrów na południe od Ma'kale.

Dawniej, zanim indonezyjskie rządy zaczęły chronić dobra kultury Toradżów, członkowie tego plemienia podpalali na koniec uroczystości pogrzebowej wzniesione specjalnie na tę uroczystość miasto umarłych, sprawiające wrażenie całej floty statków kosmicznych. W kręgu ognistym zmarły miał wyruszyć w

gwiazdną podróż. Czy Toradźowie mogli lepiej przedstawić start statku kosmicznego?

Przekazy Toradźów są dla nas wspaniałym potwierdzeniem przypuszczeń hipotezy Paleo-SETI. Spełniają bowiem wszystkie warunki, jakie w nauce stawia się teorii. Mamy tu dające się potwierdzić doświadczalnie wypowiedzi świadków z najróżniejszej perspektywy (spojrzenie z wewnątrz i z zewnątrz) o zachowaniu i skutkach, wynikłych ze zderzenia kultury o bardzo rozwiniętej technice i kultury o technice szczątkowej. Rokowanie jest następujące: jeżeli w odległej przeszłości przedstawiciele cywilizacji, dysponującej wysoko rozwiniętą techniką, odwiedzili Ziemię i jeżeli doszło wówczas przy tym do kontaktów z tubylcami, należy się liczyć ze stosownymi odkryciami w takich dziedzinach, jak religia, kultura i/albo socjologia. A właśnie takie odkrycia przynosi badanie dawnych kultur. W przypadku Toradźów mamy szczęście, bo członkowie tego plemienia żyją nadal w środowisku wyniesionym do rangi kultu.

Chociaż XX i rozpoczęty XXI wiek wywarły już wpływ na Toradźów – przede wszystkim w ostatnich dziesięciu latach za sprawą techniki informacji, politycznych struktur Indonezji oraz turystyki – podstawy wierzeń zachowały się zarówno w umysłach, jak i w działaniach tych ludzi. Ale czas, jaki pozostał na badania w terenie, znacznie się już skurczył.

Stosunkowo nieskomplikowane były badania Paleo-SETI, prowadzone na początku lat siedemdziesiątych, wkrótce po wydaniu sensacyjnych Wspomnień z przyszłości Ericha von Dänikena, albo jeszcze we wczesnych latach sześćdziesiątych, kiedy powodem polemik i dyskusji były książki takich autorów, jak Jacques Bergier i Louis Pauwels (*Aufbruch ins dritte Jahrtausend*), Robert Charroux (*Księga zdradzonych tajemnic*), Włoch dr Peter Kolosimo (*Sie kamen von anderen Sternen*), Anglik Walter R. Drake (*Spaceman in Antiquity*) czy Amerykanka Virginia Brasington (*Flying Saucers in the Bible*). Ale wówczas oficjalne środowisko naukowe nie

chciało mieć nic wspólnego z „takimi bzdurami”. Roztrwonili ostatnie możliwości naukowego – nie naiwnego, emocjonalnego, samowolnego i zarozumiałego – zbadania, czy z obiektywnego punktu widzenia tezy te należy zaakceptować czy obalić. Proces zmiany sposobu myślenia zaczął przebiegać w tej dziedzinie bardzo powoli, nawet mimo nacechowania spektakularnymi osiągnięciami nauk kosmicznych i astronomii. Mimo to z czasem powstało naprawdę poważne instrumentarium do badań tych właśnie spektakularnych twierdzeń Paleo-SETI. W następnym rozdziale przyjrzymy się więc „sprzętowi”, stosowanemu przez te badania.

Autorstwo: Peter Fiebag

Źródło: Nautilus.org.pl